

Impet

AUTOR: PAWEŁ PŁOSKI

1.

■ W maju 1964 roku Herbert von Karajan po ośmiu latach opuścił stanowisko kierownika artystycznego wiedeńskiej Staatsoper – w wyniku sporu z dyrektorem Egonem Hilbertem. Była z tego niezła awantura. Po ćwierćwieczu, w latach osiemdziesiątych, dyrygent komentował swoją pracę: „Jeśli na początek przyjmie się za ideał, że każdy operowy wieczór będzie sensacją, oznacza to stawianie żądań niemożliwych do zrealizowania. Na całym świecie nie ma dostatecznej liczby znaczących śpiewaków, by choćby w jednym teatrze zapewnić co wieczór obsadę najwyższej jakości. Już przy poszukiwaniu trzeciego rewelacyjnego tenora należałoby zwątpić. Także publiczność byłaby znużona, gdyby każdego wieczoru oferować jej premierową jakość”.

Jasno jednak wskazywał, co udało mu się osiągnąć: „Mój plan był na dłuższą metę w Wiedniu nie do zrealizowania: jednak stale się tego próbuje, ale w żadnym teatrze operowym nie da się uzyskać lepszego rezultatu niż ten, który osiągnąłem za moich czasów w Wiedniu. To znaczy przy okrągłej liczbie 300 wieczorów w sezonie mieliśmy może 40 spektakli, kiedy to wszyscy na scenie, w orkiestrze i wśród publiczności mogli być całkowicie usatysfakcjonowani. Sporo było tylko rutyną, której nie musieliśmy się wstydzić. A co najmniej 100 wieczorów operowych w sezonie, także w czasach mojej epoki, było okropnością. Tego nie można zmienić, tego także i dzisiaj żaden dyrektor opery w niczym nie zdoła poprawić”.

Sto okropnych! Pięknoduchów oburzy taka samoświadomość. W tym czasie Karajan był „dyrektorem muzycznym Europy” i odchodząc z opery, nie szedł w pustkę: kierował Berlińskimi Filharmonikami i festiwalem w Salzburgu, współpracował z La Scalą i Wiedeńskimi Filharmonikami. Z utęsknieniem czekała na niego nowojorska Met.

2.

W maju 1965 roku Bohdan Wodiczko po niespełna czterech latach opuścił stanowisko

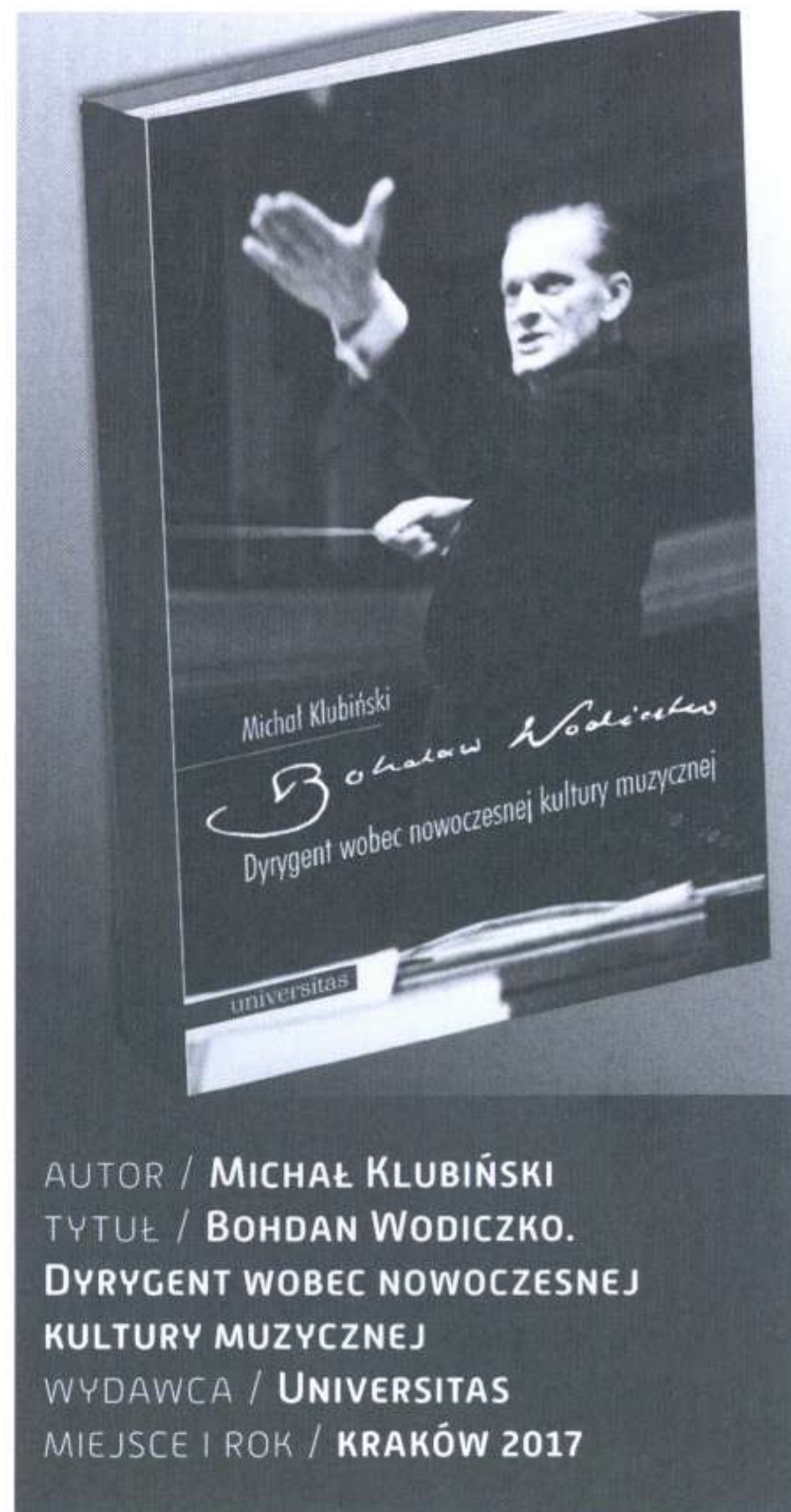
kierownika artystycznego warszawskiego Teatru Wielkiej Opery i Baletu. W trakcie roku 1961 został powołany na stanowisko dyrektora warszawskiej opery, aby przygotować zespół i repertuar na potrzeby odbudowywanego i rozbudowywanego gmachu przy placu Teatralnym. Po siedmiu latach, w 1972, na łamach „Teatru” dyrygent opisywał swoje doświadczenia: „Teatr na Nowogrodzkiej był eksperymentem, nauką dla zespołu, jak szybko można pracować, jak opanować wiele kierunków i stylów. Nie obyło się przy tym bez potknięć. [...] Umyślnie prezentowaliśmy przedstawienia bardzo konwencjonalne i bardzo nowoczesne. Nie wszystkie stały zresztą na idealnym poziomie”.

I wyjaśniał swój zamysł: „Profil repertuarowy teatru na Nowogrodzkiej był tak pomyślany, żeby w wyniku dyskusyjnego programu widz sam decydował, co chciałby w tym nowo otwartym teatrze widzieć. Tylko w ten sposób można było coś zrobić. I wówczas kiedy nasze poczynania zaczęły procentować, niespodziewanie ktoś doszedł do wniosku, że to wszystko właściwie nie ma sensu, że nikt na to nie będzie chodził. A przecież na Nowogrodzkiej nie było żadnych wycieczek, natomiast o bilety było bardzo trudno”.

I ten wysoki lot przerwano. Wodiczko stale wypowiadał wojnę marnej codzienności, choć miał pewnie podobną świadomość, co Karajan. Ale nie miał nigdy tyle szczęścia – po odejściu z opery nikt na niego nie czekał. Co smutniejsze, nigdy nie udało mu się spełnić marzenia, by stale i przez lata współpracować z tą samą orkiestrą.

3.

To nie jest biografia. Choć wątków biograficznych nie brakuje (genealogia, rodzina, czas nauki i wędrówek). Michał Klubiński skupia się na działalności zawodowej Bohdana Wodiczki i bardzo szczegółowo odtwarza jego programy działania w Filharmonii Krakowskiej, Filharmonii Narodowej i Operze Warszawskiej. To niezwykle materiał pokazujący rozmach myśli oraz umiejętność przełożenia jej na działanie. Niewiele osób w dziejach polskiej kultury umiało niemal w biegu uruchomić tak spójne programy działania, wzbudzające tak żywą reakcję, czasami także gwałtowne protesty. Detalicznie poznajemy wszelkie niuanse tytułowej koncepcji – od narodzin (wpływy studiów w Pradze) po różne sposoby jej formułowania i realizacji.



AUTOR / MICHAŁ KLUBIŃSKI
TYTUŁ / BOHDAN WODICZKO.
DYRYGENT WOBEC NOWOCZESNEJ
KULTURY MUZYCZNEJ
WYDAWCA / UNIVERSITAS
MIEJSCE I ROK / KRAKÓW 2017

Opis początku pracy w operze przyprawia o zawrót głowy. W lipcu 1961 objął stanowisko. Umiał szanować decyzje poprzedników i w pierwszych miesiącach wznawiał tytuły zgodnie z planem. Ale już od stycznia 1962 zaczyna się Wodiczkowy czas. I to jak!

Konrad Swinarski i Jan Kosiński przygotowali *Króla Edypa* i *Persefonę* Igora Strawinskiego. Do dziś widzowie wspominają chwilę, gdy omal skamieniały chór w *Edypie* podnosił wzrok... Mocny, elektryzujący obraz. Tym przedstawieniem podbiją Europę. A później co miesiąc premiera. Krytycy zachwyceni nowościami, rosnącym poziomem wykonan. Do tego bywanie w operze stało się modne – właśnie wśród młodego pokolenia.

Nie był to przypadek. Na samym początku dyrekcji, we wrześniu 1961, uruchomiono program Opera Viva – skierowany do młodzieży i studentów. Wtedy też ukazał się pierwszy numer czasopisma „Opera Viva”, bezpłatnego dodatku do programów – w efektownej szacie graficznej, za każdym razem z innym redaktorem prowadzącym (wyszło sześć numerów, kolejni redaktorzy: Jan Weber, Bohdan Pocię, Jerzy Waldorff, Witold Filler, Bogusław Schaeffer, Janusz Cegieła, Andrzej Kolasiński).

Cóż, był i brak wyczucia. Wodiczko od nowa budował zespół. Gigantyczne zwolnienia (ponad sto osób, w tym wielkich gwiazd, jak

Niezwykły jest impet, konsekwencja i skuteczność Wodiczki. Za każdym razem w ciągu jednego sezonu tworzył instytucję na nowo. I z sensem!

Maria Fołtyn czy Wanda Werwińska) zostały przeprowadzone... korespondencyjnie. A taki tryb potrafi boleć. Dyrektor umiał przyznać się do błędu – zwolnionego w 1961 Kazimierza Korda kilka lat później, w 1969, polecał na kierownika artystycznego WOSPR. Tempo pracy i wymagania pewnie nie rodziły życzliwości. A resort zarzucał dyrekcji, że bilety były zbyt tanie!

Niezwykły jest impet, konsekwencja i skuteczność Wodiczki. Za każdym razem w ciągu jednego sezonu tworzył instytucję na nowo. I z sensem!

4.

Podskórnym wątkiem książki jest konflikt dwóch wielkich dyrygentów – Witold Rowicki kontra Bohdan Wodiczko – który zaważył na losie bohatera książki. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Rowicki wziął udział w ministerialnej intrydze, pozwolił mianować się kierownikiem artystycznym Teatru Wielkiego, dyrygował inauguracją w listopadzie 1965 roku i kilka miesięcy później złożył stanowisko. Skąd tak bezwzględna i bezinteresowna złośliwość spełnionego artysty.

Książka pokazuje możliwe źródło konfliktu. W 1955 Rowicki inaugurował odbudowany gmach Filharmonii Warszawskiej. (Od 1950 jako szef tej orkiestry wiele uczynił, by powstał ten budynek). Tymczasem krótko potem minister Sokorski uznał, że poziom orkiestry wymaga naprawy, a repertuar przewietrzenia. Bezceremonialnie zwolnił Rowickiego i powołał Wodickę, który w ekspresowym tempie spełnił pokładane w nim nadzieje.

Jednak wiatr odnowy wiał krótko. Rowickiemu udało się wrócić na stanowisko w 1958, by pracować nieprzerwanie do 1977. Co nie przeszkodziło (trochę na wzór Karajana?) na krótko stać się „dyrektorem muzycznym Warszawy”, kierując naraz filharmonią i operą. Motyw zemsty?

Michał Klubiński zaznacza, że te zmagania nadal stanowią temat tabu (trzydzieści lat po śmierci obu przeciwników!). Kto nie wierzy, niech zajrzy na stronę internetową poświęconą

Rowickiemu: nie ma ani słowa, że dyrygent miał jakieś kłopoty w filharmonii.

5.

Trzeba wspomnieć o kształcie książki. Doskonała okładka ze zdjęciem Marka Holzmana, sporo ilustracji. Wielką wartością jest zebranie ogromnego materiału dowodowego, który potwierdza wizję i talent Bohdana Wodiczki. Ta książka była potrzebna.

Zastanawia jej konstrukcja – podział na rozdziały (jest osiem). Opis Wodickowej koncepcji znajduje się w rozdziale czwartym, który liczy sobie dwieście stron, z czego szczegółowy podrozdział opisujący szefowanie w operze warszawskiej stanowi sto trzydzieści stron. Dla lepszej czytelniczej nawigacji, dla wydobycia wątków ten materiał powinien być podzielony na dalsze części.

Czytelniczym kłopotem jest też autorska skłonność do kwiecistych określeń oraz kunsztownie budowanych, wielokrotnie złożonych okresów. Niekiedy sporą chwilę zajmowało mi skojarzenie podmiotu z orzeczeniem – dzieliła je bowiem spora odległość „naznaczana” wtrąceniami.

I w związku z powyższym, rad bym wiedzieć, co dla szacownego wydawnictwa naukowego oznacza sformułowanie „opracowanie redakcyjne”? Zdaje się, że to taka „trochę redakcja, a trochę nie”. W książce wyraźnie brakuje ręki redaktora, który dopilnowałby: korekty, układu treści, komunikatywności.

6.

To ważna książka o głupocie władz kultury, o tępej i bezmyślnej polityce – w której układziki, intrygi, ministerialne widzimisię znaczą najwięcej. Od lat Bohdan Wodiczko jest dla mnie figurą symboliczną dla dziejów polityki kulturalnej Rzeczypospolitej.

Tyle trudu, tyle planów, tyle talentu – tak łatwo roztrwoniono. Tyle szans zaprzepaszczone. Wyrzucono człowieka z planem, by powołać ludzi bez planu, bez myśli. Najważniejsze było dokonać zmiany. „W Warszawie panuje spokój”.

Miałem w pamięci twarz Wodiczki, gdy obserwowałem podchody wobec Mariusza Trelińskiego w 2006 roku. Działo się to w jednym z najintensywniejszych sezonów Teatru Wielkiego w ostatnich trzech dekadach. Co za paradoks: jesienią 2006 roku Treliński odbierał Nagrodę im. Konrada Swinarskiego, gdy tymczasem ulubieniec pani prezydentowej Kaczyńskiej mościł się w operze i szykował mu zwolnienie.

Nieprzyjemnie czyta się tę książkę. Nieustannie wraca myśl, że nic się nie zmieniło. Urzędnicy wiedzą, że za psucie kultury nie trafią do więzienia, nawet grzywny nie zapłacą – tę zapłaci budżet państwa. Tak było w 1965 roku, gdy stać nas było na odwołanie przed premierą *Wozzecka* Berga w reżyserii Konrada Swinarskiego (decyzją solistów i pracowników technicznych!) oraz zakończenie współpracy z choreografką Françoise Adret, skutkujące międzynarodowym arbitrażem i wysokimi odszkodowaniami. Tak jest i teraz, gdy w łódzkiej operze odwołano omal gotową *Śmierć w Wenecji* Brittena (kary zapłacono), a gdzie indziej bezprawnie zwalnia się ludzi, by już potem decyzją sądu płacić karne odsetki.

Niestety, jedyne piekło, które czeka takich urzędniczych psujów, to piekło przypisów. Po latach historycy wymierzają rację i na ogół artyści wygrywają. Choć to gorzkie, pyrrusowe zwycięstwo. Nikt nie odda zmarnowanych lat. W ostatnich stu latach paru ich było, co ten czas tracili: Schiller, Wierciński, Horzyca, Wodiczko, Dejmek, Holoubek, Treliński, Brzoza, Kłata.

Dobrze, że autor oddaje sprawiedliwość Stanisławowi Witoldowi Balickiemu, wynotowując wszelkie odnalezione na jego temat nieprzyjemne epitety oraz zestawiając jego zasługi dla ukatrupienia najciekawszych inicjatyw. Pamiętajmy: niemal równocześnie dyrektor generalny MKiS Balicki bezinteresownie poniżał i niszczył dyrektorów podległych sobie instytucji: Arnolda Szyfmana, Bohdana Wodickę i Kazimierza Dejmka. I takie bywają sposoby na nieśmiertelność. Mam nadzieję, że jest nas kilkoro w Polsce, którzy notują działania współczesnych Balickich. ■